

Bez szczytowania

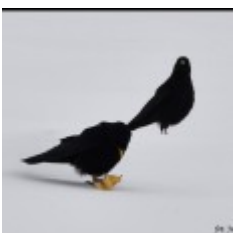
Czas: VI 2011

Skład ekipy: Dziku, Tomek, Aga, Aneta.

Miejsce: Masyw Mont Blanc

Po zejściu z [Kuluaru Y](#) spędziliśmy noc w schronisku i na drugi dzień ruszyliśmy w drogę powrotną do miasta. Zmęczenie wychodziło na każdym kroku. Ktoś zgubił bidon, ktoś inny... linę. I ten ktoś wracał po tę linę z moreny z powrotem na lodowiec. I szukał, szukał, aż znalazł. Pewnie gdyby nie była pożyczona to by tam już została. Po zejściu z lodowca złapała nas ulewa. Oprócz tego, że mokliśmy, spowodowała ona wezbranie strumieni. Przekraczanie ich było nieco uciążliwe. Szczególnie gdy np. po przejściu ostatniej osoby okazywało się, że czyjeś kijki zostały na drugim brzegu.







W końcu jednak przemoczeni dotarliśmy do samochodu. Wbrew naszym zasadom „byle jak najtaniej” lokujemy się w Argentiére w pensjonacie. Ku naszemu zaskoczeniu ceny są bardzo dostępne bo tylko 18€ za osobę. W tej cenie nocleg w łóżku, prysznic, kuchnia i pralka z suszarnią. Tylko butów do suszarni nie mogliśmy włożyć żeby nie zasmrodzić prania. Właścicielka pensjonatu poznała się na nas. Tym bardziej, że przypadkowo potrzebowała moje buty przesunąć i odskoczyła krzycząc „WHAT A SMELL!”. Podsumowując – pensjonat ładny i przyjazny. A przynajmniej do momentu jak Aga znalazła pianino i zaczęła na nim pogrywać.

W mojej głowie ciągle kotłowały się myśli typu „co dalej?”. Wracać do domu czy jechać na Col. du Midi i spróbować dostać się nocą na Mont Blanc? Za tym pierwszym przemawiały prognozy, które nie pozostawiały żadnych złudzeń. Sprawdzamy pogodę w internecie, podpytujemy ludzi, potem jeszcze studiujemy wywieszki w Chamonix. Wszystko świadczy o tym, że pogoda jest i będzie do bani. Nikt się na szczyt nie wybiera, tym bardziej, że przed sezonem jedyna działająca kolejka to ta na Aig. du Midi.

Jednak na drugi dzień, czyści, wyprani i pachnący pakujemy się w deszczu do samochodu i decydujemy się zostać jeszcze dwa dni. Dłużej nie możemy. Odwozimy Marcina na pociąg do Paryża, po czym we czwórkę jedziemy do Chamonix na pole namiotowe. Trochę się przejaśnia więc idziemy pozwiedzać miasto. A tam – same ekstremalne doznania. Można zjeść extreme sandwich, popić vertical coffee i położyć się spać w hotelu Mont Blanc. Zresztą chyba wszystko tu się nazywa Mont Blanc, parking, księgarnia i sklep mięsny też. Wieczorem wino i kozi ser

konsumujemy na karimatach przed namiotem. Niebo zachmurzone – ale nie pada. Trzeba spróbować...

Rano ładujemy się do kolejki na Aig. du Midi. Tu zaczyna się szaleństwo z Japończykami. Fotografują wszystko. Fotografują nawet nas, ale to jest akurat fajne. Gdy wysiadamy z kolejki i uzbrajamy się w szpej szłyszemy: „W00W, YOU ARE C00L!”. To jedna z Japonek – na oko między 17 a 45 lat – chce się z nami sfotografować. Aga wciska jej do ręki czekan, błyskają flesze, jest wesoło. Moglibyśmy tu zostać robiąc za atrakcję. Zadanie jest o tyle ułatwione, że w koło panuje gęsta mgła i nic kompletnie nie widać. A nas widać! No ale wjechaliśmy tu w jakimś wyższym celu. Wyższym o jakieś 1000 metrów. Z myślą o NIM wychodzimy za furtkę, zostawiając za sobą cywilizację i tłumek rozkrzyczanych turystów.

Śnieżną, ostrą granią schodzimy na płaski jak stół lodowiec. Zostawiamy wydeptany do schroniska ślad i torując drogę w głębokim śniegu zmierzamy w kierunku stromego zbocza na skraju przełęczy. Stąd chcielibyśmy w miarę możliwości zdobyć jakiś szczyt. Mamy na to jedynie dobę a pogoda nie pozwala na wiele. Od rana, bez przerwy wieje bardzo silny wiatr. Po rozłożeniu namiotów pozostaje tylko jedno – położyć się w nich i czekać. Jednak Tomek – z zawodu budowlaniec – wychodzi i zabiera się za budowę muru wokół namiotu. Na moje pytanie czy nie potrzebuje pomocy odpowiada: „myślisz, że taki murek to każdy może sobie tak o zbudować?”

Po południu ruszamy na zwiad. Dzień jest długi więc po cichu liczymy, że uda się przekroczyć 4000 m w drodze choćby na Mont Blanc du Tacul. Niestety – kręcimy się w kółko. Droga znana z map i relacji jakby przestała istnieć. Brnąc w głębokim śniegu natykamy się albo na przepaść, albo na lodową ścianę – nie do przebycia z tym sprzętem co mamy. A mamy... jedną śrubkę lodową i 20 metrów liny. Ale przecież tędy prowadzi „normalna” i popularna droga na Mont Blanc! Tymczasem przed nami trudności nie do przebycia. Czy to z powodu pogody jaka panowała w ostatnich dniach? Jakby w celu przekonania się o bezradności

wchodzę kilka metrów po mocno nachylonej lodowej ścianie. Wkręcam tę jedyną śrubkę, tak o, dla testu jak to jest, po czym wykręcam ją i złażę. Żeby nie dać za wygraną umawiamy się, że przez całą noc będziemy co pół godziny sprawdzać czy nie idzie jakaś grupa na szczyt. Ciągłe liczę na to, że jeśli w nocy „coś” zdobędziemy to zdążymy do południa wrócić kolejką na dół i dojedziemy do Polski na czas.

Resztę wieczoru spędzamy leżąc w szarpanych silną wichurą namiotach. W pewnym momencie ze śpiwora obok dochodzi mnie nieśmiały głos:

– Jareczku... a może jest jeszcze jakaś kolejka na dół...?.

Przez moment nie wiem o co może chodzić ale dociera do mnie, że przecież dla Anety ten wyjazd to pierwszy kontakt z tego typu „turystyką”.

– Anetko, przecież jest cudownie!

Nie przekonało jej to mimo, że Dzik powiedział co myślał.

Nocą co jakiś czas wystawialiśmy głowy z namiotu. W tym wietrze nie można było usłyszeć czy ktoś przechodzi czy nie. Niestety, do rana na lodowcu królował jedynie silny wiatr. Nie pozostało nic innego jak spakować się i pokonać 300 metrów przewyższenia do kolejki, zjechać do miasta, wsiąść do auta i wracać. Prognoza, która znana nam była jeszcze przed wyjazdem sprawdziła się. Możemy jedynie czuć satysfakcję, że udało nam się przejść kuluar i dzięki temu nie wracamy z niczym.

Zresztą, spędzenie nocy na lodowcu na 3500 m. n.p.m. w szarpanym wiatrem namiocie – to już jest COŚ WSPANIAŁEGO!

A przynajmniej dla niektórych!

– END –

PS. Kto znów wyrzucił ogryzek? Przecież mówiłem, że dziki bardzo lubią ogryzki i żeby nie wyrzucać.